

Palac-twierdza gangstera amerykańskiego

Syndykat „Swoich chłopców”

Ptak-brzuchomówca

Gadający barometr

Policja Stanów Zjednoczonych prowadzi obecnie usilną walkę, mającą na celu zlikwidowanie gangsterysty. W tych dniach przedzierał się palac przy Wall-Street, należący do zamożnego finansisty Carla Retticha, zajeżdżał cały batalion policji motocyklowej. Wizyta władz wywołała nie-male zdziwienie w Nowym Jorku, gdyż p. Carl Rettich znany był ja-ko solidny i zamożny obywatel, posiadacz dwóch jachtów, dwóch łodzi motorowych, 10 aut oraz wspaniałej kolekcji obrazów, któ- ra mieściła się w jego rezydencji nowojorskiej.

A jednak pewnego pięknego po- ranka policja motocyklowa oraz trzy auta ciężarowe, wiozące po- licjantów i inspektorów policji tajnej, zatrzymały się przed pałacem p. Retticha. Agencji, jak się okazało, nie zastali miljonera w domu, mimo to jednak, nie zważa- jąc na jego nieobecność, dokonali rewizji. Dała ona wyniki rewela- cyjne. Odkryto bowiem ukryte w willi 50 rewolwerów, 15 karabi- nów maszynowych, 19 tys. sztuk granatów ręcznych. Ponadto od- kryto również 12 ubrań, chronią- cych przed kulami. Były to istne moderne pancerze.

Przy całej tej rewizji asystował stylowy kamerdyner, pełen god- ności i niewzruszonego spokoju. Oświadczając policji, że samego pa- na w domu nie ma, jest natomiast jego ojciec oraz szwagier. Oby- dwaj bez słowa zgodzili się na przeprowadzenie rewizji.

WSPANIAŁY ARSENAL

W momencie rozpoczęcia rewiz- ji agencji policyjnej mieli wrażenie, że znajdują się poprostu w domu bogatego kolekcjonera. Ale zdumienia to szybko się rozwią- zały. W bibliotece bowiem, b. bogato zaopatrzonej, inspektorzy policyj- ni zauważyli, że niektóre tomy są szczególnie ciężkie. W rzeczywisto- ści w pięknych okładkach uk- ryte były rewolwery i automa- tyczne pistolety. W całym domu znajdowano broń ukrytą w naj- bardziej nieprzewidywanych miej- scach. Któż mógł np. przypusz- czać, że bezcenne wprost wazy chińskiej epoki Ming kryją w swo- jem wnętrzu rewolwery.

Niemalą niespodzianką również było odkrycie karabinu maszyno- wego, ukrytego w stylowym łożu oraz szeregu karabinów schowa- nych pod blatami stołów. Ponad- to znaleziono również pakiet bile- tów bankowych. Było to ni mniej ni więcej tylko 190.000 dolarów, pochodzących z kradzieży w Fall River, a ponadto znaleziono klej- noty wartości 200.000 dolarów,

zrabowane w stanie Massachus- sett.

TAJEMNICZA PIWNICA

Skończyła policja zajęła się zbada- niem podziemi. W pustej zupełnie piwnicy uderzył ich jeden szcze- gół, a mianowicie: na gwoździu wisiała rączka, służąca do nakre- śniania starszowieckiego gramofonu. To zwróciło uwagę policjantów i wkrótce po obejrzeniu dokładnem ścian zauważyli w jednym miej- scu zadrapanie na murze, a obok pod odsuwającą się płytką ściany śrubę, do której doskonale paso- wała znaleziona korbka. Kiedy za- łożono korbkę i pokręcono, wów- czas usunął się jeden z bloków podłogi i wtedy okazało się, że pod piwnicami znajduje się jesz- cze elbrzyska sala, długości 20, a szerokości 13 metrów, do której schodziło się po schodach z 3-me- trowej wysokości.

SWOI CHŁOPCY

Ta podziemna sala zbudowana

została przez „Swoich chłopców” w roku 1929 w ciągu dwóch ty- godni. Sala ta robi zupełnie wra- żenie poczekalni kolejki podziem- nej.

Ale któż to są owi „Swoi chłop- cy”? Są to wprost bezcenni po- mocnicy wszelkiego rodzaju zbro- niarzy. Są to pracownicy, którzy po bardzo wysokich cenach po- dejmują się wykonania wszelkich prac dla gangsterów. Orientują się doskonale w każdej sytuacji i pracując nie pytają nigdy o nic, zapominając zawsze wszystko to, co zapomnieć należy. „Swoi chłop- cy” rekrutują się z ludzi należą- cych do różnych profesyj. Są tam chirurdzy, którzy zmieniają nie do poznania twarze gangsterów, pra- gnących uciec przed policją, i są również mistrze malarstwa lub inni rze- mieślnicy. Trzeba przytem wie- dzieć, że w każdym większym mie- ście amerykańskim urzęduje a- gent Syndykatu „Swoich chłop-

ców”, który zawsze może wskazać gangsterom, do kogo mają się zwrócić w razie potrzeby.

NIESLYCHANE OKRUCIEŃSTWO

Przed zniesieniem prohibicji Carl Rettich, który uchodził za spokojnego finansistę, trudnił się przemytem alkoholu, przyczem po- sługiwał się swoimi jachtami, motorówkami i luksusowymi au- tomobilami. Jednakże ze zniesie- niem prohibicji skończyło się ży- cie przemytnicze, urwały się za- robki i Rettich zaczął trudnić się organizowaniem zichwałych i bez- celnych włamań, porwaniem dzieci, przyczem nie gardził także i t. zw. „mokrą robotą”. Słynął wśród gangsterów jako człowiek bezlitosny i usuwający tych, któ- rzy mogli być dla niego niebez- pieczni.

Wszyscy pamiętają dotychczas w Ameryce porwanie niejakiego Danny Walsh. Walsh porwany został w czerwcu r. ub., podczas bankietu. Rettich przez swych za- ufanych ludzi żądał za niego oku- pu w wysokości 60.000 dolarów. Kiedy jednak Walsh, przewiezio- ny do rezydencji Retticha, zorjen- tował się gdzie się znajduje i stał się niebezpieczny wskutek tego, gdyż mógł z łatwością po uwolnie- niu wskazać Retticha jako pory- wacza, wówczas zamordowano go i zwłoki jego, złożone do trumny, wypełnionej cementem, dla po- większenia ciężaru, wrzucono do morza. Kiedy w jakiś czas potem przyjaciółka Walsh wszczęła po- szukiwania za nim i wpadła na ślad ukochanego człowieka, wów- czas banda Retticha uśmierciła ją w ten sam sposób, co Danny Walsh, i również wrzucono jej zwłoki do morza.

Te wszystkie szczegóły, jakie a- gencji policji zdobyli podczas śledztwa, wpłynęły na to, że nie ograniczono się tylko do przesu- kania samego domostwa, lecz przeprowadzono także poszukiwa- nia i w ośrodku, odcinającym wille Retticha. 12-tu ludzi prze- kopano cały grunt, a poszukiwania dały rezultat w postaci wielkiej skrzyni metalowej, wypełnionej kosztami ludzkimi oraz kufra, za- wierającego 10.000 dolarów.

Podczas przeprowadzania rewiz- ji nadjechał, nieuprzedzony o tem, Carl Rettich, który został na- tychmiast aresztowany wraz ze swoją piękną żoną. Obecnie znaj- duje się on w więzieniu i przewi- dziane jest, że śladzie na krześle elektrycznym, co będzie przyka- dem dla szerzącego się w Ameryce gangsterysty.

W okresie silnych upałów za- zwyczaj wszystkie stworzenia, znużone gorącem, są ciche, sen- ne i milczące. Wyjątek stanowi w tym wypadku tylko jeden mały ptaszek zwany „Campanero”, lub też ptak — dzwonek. Ptak ten żyje w dżunglach brazylijskich, a krzyk jego przypomina do złu- dzenia uderzenie młotka o kowa- dło, przyczem im większy upał się zapowiada, tem głośniej pta- szek ten krzyczy. „Campanero” jest niewielki i pokryty białymi piórami, z wyjątkiem szczy, która jest zupełnie naga.

Głos „Campanero” rozlega się na wielkich odległościach, ale kiedy patrzy się na ptaka zbli- ska, gdy wydaje z siebie ten nie- samowity krzyk, ma się wraże- nie, że jest on poprostu „brzuchomówcą”. Siedzi wtedy najspoko- niej pozornie milczący i nieru- chomy na gałęzi i nie otwierając dzioba, wydaje z siebie ten prze- dziwny, ostry krzyk.

„Campanero” przepowiada po- godę znacznie lepiej, niż wszel-

kie barometry. Swoją dziwną krzyk wydaje wtedy kiedy nastą- pić ma silny upał oraz wtedy kiedy zbliża się deszcz, którego nie znosi. Ponieważ dyrekcja „Zoo” londyńskiego organizuje co jakiś czas transmisje głosów rzadkich okazów ptasich, próbo- wano również transmitować i głos „Campanero”. Ale mały pta- szek zachował się wobec zaszczy- tu zupełnie arogancko i odwrócił się poprostu ogonkiem do mikro- fonu.

Do tegoż właśnie „campanero” w „Zoo” londyńskim sprowadzo- no małżonkę — panią „Camp- anero”. Dama wyglądała nieco od- mienne od swego krzykliwego małżonka, gdyż posiadała upie- rzenie zielone, a na łebku czar- ne. Małżonek wyznawał jej mi- łość w swój nader krzykliwy spo- sób. Widocznie jednak biedna pani „Companero” nie znosiła tego krzyku i była wiecznie mi- ęcząca, aż wreszcie po dwóch mie- siącach tych głośnych adoracji rozstała się ze światem.

Argentyńskie mrówki w Paryżu

przywędrowały z zespołem jazzowym

Ciekawą sprawę rozpatrywać będzie w najbliższych dniach sąd paryski.

Dzierżawca pewnego hotelu pa- ryskiego, sprowadził przed rokiem słynny argentyński zespół jazzo- wy. Po pewnym czasie, goście res- tauracji hotelowej, upajając się dźwiękami oryginalnych argen- tyńskich melodii zaczęli zdradzać dziwne zaniepokojenie.

Kelnerzy obserwując nerwowe ruchy gości, przypisywali je nie- pokojącemu rytmowi muzyki. Z czasem zaczęły się w hotelu dziać wogóle niesamowite rzeczy. Pewnego dnia gospodini zarzą- dzająca spiżarnią znalazła pusty sło- jek od marmelady truskawkowej, tak idealnie wyczyszczony jakby codopiero przyniesiono go ze sklepu. Chłopiec kuchenny wzięty na sypki wyparł się wszel- kiego udziału w opróżnieniu sło- ja. Któż mógł być winowajcą? Na próżno lamano sobie nad tem gło- wę. Kiedyś znów zauważono, że solidne dotychczas futryny drzwi i okien nagle „spróchniały”. Za la- da dotknięciem sypano się z nich próchno. Zaczęto dochodzić przy- czyny tego zjawiska i znaleziono, że w hotelu zagnieździł się spe- cjalny gatunek mrówek, wyjątko- wo żartocznych i niszczyielskich. Przyrodniczy zaproszeni do rady stwierdzili, że jest to gatunek mrówek południowo - amerykań- skich. Zagadka się wyjaśniła.

Mrówki przywędrowały z argen-

tyńskim zespołem jazzowym. Wzię- to się do ich tępienia. Wszystkie środki okazały się jednak zawo- de. Mrówki rozmnażały się z nie- prawdopodobną wprost szybko- ścią. Rezultaty tej nieoczekiwa- nej inwazji nie dały na siebie dłu- go czekać. Codzienni goście hote- lowej restauracji zaczęli być co- raz rzadziej. — W końcu wynie- śli się zupełnie. Za nimi poszli mieszkańcy hotelu, którym mrów- ki zagnieździły w łóżkach, sza- fach, stołach, podłodze i t. p. nie pozwalając spać. Za gośćmi po- szedł personel hotelu i orkiestra, która wolała zrzec się dobrych za- robków, niż narażać na drobne ale- ostre szczyki małych żyłatek.

W końcu zrozpaczeni właściciel hotelu wezwał policję, która przy- stąpiła do wykuszania intruzów przy pomocy trujących gazów. I to nie pomogło. Owad okazał się wytrzymały na wszystkie nowo- czesne środki walki chemicznej, co uczony naprowadziło na do- myśli, że mrówki te posiadają pewne substancje niweczące dzia- łanie gazów. W końcu musiano dom zburzyć.

Obecnie właściciel hotelu skar- ży dzierżawcę o sprowadzenie ar- gentyńskiego jazzu.

FRANCIS DE CROISSET

5)

DAMA z MALAKKI

POWIEŚĆ

— Nie pojmuję, jak można robić małe świństewka, ale rozumieć doskonale, że można popełnić zaleństwo lub zbrodnię. Niech się pani nie obawia. — Audrey uśmiechnęła się, czując, że pani Turpin drgnęła. — Tak rzadko zdarza się do tego okazja.

Ale tym razem pani Turpin nie była zgorszona. W obcowaniu z panną Greenwood obudziło się w niej głęboko ukryte poczucie romantyzmu; podziwiała jej młodość, klasyczny profil, wytworność, nieszcześć.

Już wiem, jak to jest — rozmyślała autorka „Gramatyki dla wszystkich”. — Panna Greenwood to księż- nica z dramatów Racina.

— Panią spotykają w życiu wielkie rzeczy, dla nich się pani urodziła — zawyrokował pani Turpin. Pewne- go wieczoru zaprosiwszy Audrey do swej małej jadalni, koloru pieczonych kasztanów, gdzie nisko wisząca lam- pa oświetlała stół nakryty holenderskim obrusem, i na którym stała zastawa z imitacji saskiej porcelany. Nie pytam pani o przeszłość ale jestem, pewna, że pani miała inne życie niż zwykli ludzie.

Audrey uśmiechnęła się swoim znużonym uśmie- chem i zmieniła temat rozmowy. Wróciwszy do domu zastanowiła się nad słowami pani Turpin. Wielkie zda- renie — Nie było życia bardziej płaskiego niż jej bar- dziej nieudane!

Stało jej przed oczami smutne, fabryczne miasto,

ciemna handlowa ulica, na której mieszkała za czasów dzieciństwa, i wielki, zimny dom, w którym umarła jej matka na raka w gardle; Audrey miała wówczas dwa- naście lat. Deszcz był tłem wszystkich jej wspomnień. Często, kiedy wychodząc do szkoły w szare wiosenne po- ranki wahała się nad wyborem płaszcza, zdawało jej się, że słyszy kochany ochrypnięty głos Grace Green- wood, że zaraz pobiegnie do pokoju matki, uściśka ją, a matka unosząc głowę z nad poduszki patrzeć będzie na nią oczami pełnymi niepokojów.

— Nie zapomnij przedewszystkiem parasola. Nulóż przynajmniej ciepłą pelerynkę — i kiedy teraz zdarzało się Audrey wracać wieczorem w ulewny deszcz, myśla- ła zawsze:

Biedna mama, dzięki niej uniknęłam wielu katarów. — Matka! Nad łóżkiem wisiał portret, wykonany pastelem, i przedstawiający ją w ostatnim roku życia. Piękną, wyniszczoną twarz rozświetlał uśmiech.

— Podobna jestem do niej — myślała Audrey. — Ale ona ma wrok mniej energiczny i mniej woli w za- rysowaniu ust. Po niej to jednak odziedziczyłam te za- pasy wiary w życie i nadziei, które mój ciężki los sys- tematycznie niszczy. Jak tatuś ją kochał! „Moja Gra- cja” mówił o niej.

— Niech się dzieje, co chce! Muszę zmienić moje ży- cie! Muszę się stąd wydostać. Mam dwadzieścia sześć lat, jestem starą panną i ciągle nie, nie i nie...

Powróciwszy do domu znalazła pod drzwiami list. Późna pismo Herberta, który nie odzywał się do niej od sześciu miesięcy. Położyła list na stół, ruchem peł- nym największego rozdrażnienia, rzuciła z siebie kape- lusz, płaszcz, i nagle runęła na łóżko. Gdyby litościwy los obdarzył Audrey wiarą matki, byłaby się czuła mniej nieszcześliwa. Gracja Greenwood podczas ostatnich lat

swego życia nie opuszczała nigdy pokoju i rzadko wsta- wała z łóżka, powierzając częstą swoją dziesięcioletnią córkę pani Drake, bezdzietnej wdowie, starej, surowej Angielce, dalekiej swoje krewnej. Ona to opiekowała się Audrey w niedziele i podczas wakacji. Pani Drake fa- natyczna luteranka nie była w stanie zrozumieć wzno- szej poezji katolicyzmu, tej „religii balwochwalców”, jak ją nazywała. W niedzielę prowadziła małą nie do kościoła, a do zboru. Ukrytą jej ambicją było nawróce- nie dziewczynki.

— Nie mów o tem mamie — mówiła — to zbyt ciężkie, kiedyś podziękujesz mi.

W zborze śpiewali psalmy. Pani Drake dołączała do ogólnego chóru swój fałszywy głosik. Kiedy dziecko by- ło roztargnione, pani Drake trącała ją energicznie w dłoń rączką parasola.

— Śpiewaj — szeptała.

— Czy to do tego samego Pana Boga modlą się lu- dzie w zborze i w kościele — spytała Audrey panią Drake?

— Bóg jest jeden, — odparła stara fanatyczka, i jed- na jest prawdziwa religia: nasza.

Po śmierci żony, Perry Greenwood, który miał nie- szczęście nie wierzenia w nic, nie interesował się tem, czy córka spełnia swoje religijne obowiązki. W duszy dwudziestoletniej Audrey nie zostało ani śladu wiary, którą miała w dzieciństwie.

Któż zapukał do drzwi. Wstała. Twarz miała zorana płaczem, oczy spuchnięte.

— To pewnie pani Turpin — myślała. — Nie chcę nikogo widzieć.

(C. d. n.).

Antoni zamyslił się, pokombino-

wał coś chwilę, z odrazą spojrzął na przyjaciela.

— Tfu, świnią — zawyroko- wał. — Chciałbyś uwieść rodną ciotkę.

— Czyś ty zwariował?! — za- wołał oburzony kolega.

Antoni triumfował.

— Typowy przykład oporu. Twoja świadomość sprzeciwia się...

— Ależ człowieku! — przerwał mu kolega — ja nie mam żadnej ciotki!

Antoni, trochę speszony, usiadł przy swoim biurku.

Kiedys dyrektor biura, dowie- działszy się o umiejętnościach swego urzędnika, opowiedział mu swój sen, prosząc o tłumaczenie.

Antoni uważnie wysłuchał, zapy- tał dyrektora o parę szczegółów z dziecinstwa (czy chorował na ko- klusz i jak i kolor włosów miała jego niania), ale gdy przyszło do zakomunikowania rezultatów ba- dania, zamilkł, widocznie zmie- szany.

— No, niech pan mówi — za- checał dyrektor.

— Kiedy... Może lepiej nie... Do- prawdy... nie mam odwagi — ja- kał się Antoni. Ale dyrektor śmiał się:

— Wal pan! Śmiało!

— Ma pan dyrektor zamiar za- mordować swego przyjaciela i u- cieć z jego żoną — rąbnął wkońcu psychoanalityk.

Omawia wtedy nie stracił posady.

Wyspecjalizowawszy się w tłumaczeniu snów, był zdania, że nie- ma już dla niego tajemnic w tej dziedzinie. Toteż bardzo się zdumiał, gdy kiedyś stanął bezradnie wobec własnego snu. Ani rusz, nie mógł go zrozumieć. Szczególnie ciemna i tajemnicza wydawała mu się ta część snu: jechał samocho- dem po stronie i niebezpiecznej drodze, a gdy odwrócił się za sie- bie, widział, jak jedna z tylnych opon spadła i toczyła się w dół, mnożąc się w drodze w niezliczo- ną ilość coraz mniejszych kółek.

Dziwnym trafem losu, zrozumi- enie tego snu przyszło na Anto- niego na sali sądowej.

Mnożące się kółka, które dopisał na czeku, strona i niebezpieczna dro- ga tłumaczyła się jasno, jako droga, którą obrał, dopuszczając się przestępstwa.

Szczególny spowodu tego nagie- go ośnienia, miłośnik prawdy nau- kowej, powędrował Antoni P-ski z rozjaśnioną twarzą do więzie- nia, gdzie w niezamąconym spoko- ju będzie mógł przez cały rok od- dawać się swym naukowym zani- mowaniom.

Eses.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.63.62 (dla polityczny i ekonomiczny); 6.36.63 (dla liter.-art.); 6.66.53 (miedzymiastowy). Sekre- tarz redakcji przyjmuje interesantów z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12-13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Z rad 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefina 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Ogłanka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miesięczna (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa zł. 2.30 miesięcznie; wraz z dzielnymi Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal- ty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.